

Błażej Brzostek

MALA STABILIZACJA **G**OMUŁKI

MĘŻCZYŻNA [...] *Siada przy stole. Zakłada nogę na nogę.* Lubię po posiłku posiedzieć. Wiesz [...] przyszło mi do głowy, że wiary i ideologie powinny być jak pigułki. Nie powinny rozdzierać, kaleczyć. Ale powinny być w działaniu łagodne i oczyszczające. Przecież to już druga połowa XX wieku, na miłość boską. Wracamy powoli do równowagi, a tu nad głową jakieś chmury się zbierają... Coś niecoś się dokupiło...

KOBIETA Coś niecoś się odłożyło.

MĘŻCZYŻNA Coś niecoś się uzbierało.

KOBIETA Jakoś się wreszcie ułożyło... Chyba mamy prawo wiedzieć, co nas czeka.



ramat Tadeusza Różewicza *Świadkowie albo Nasza mała stabilizacja*, opublikowany w 1962 r., a dwa lata później wystawiony na scenie, był spojrzeniem na kulturę epoki, ale jego podtytuł wszedł do zbioru „skrzydlatych słów”, gubiąc odniesienie do dzieła Różewicza. Określenie „mała stabilizacja” najczęściej chyba stosowane jest jako etykieta systemu „gomułkowskiego” i dotyczy spraw społeczno-politycznych: realiów, w których „da się żyć”, ale nie można liczyć na dużo więcej; realiów państwa rządzonego autorytarnie, w którym zapomniano o programie odnowy moralnej, politycznej, gospodarczej z 1956 r.; realiów skłaniających do koncentracji na życiu prywatnym, w które

władza nie wtrąca się już brutalnie, a zniechęcających do wstępowania na publiczną scenę, na której mogą się rozgrywać głównie akty reżyserowane przez władzę; realiów, które są bez wątpienia bezpieczniejsze i wygodniejsze niż te wcześniejsze, zwane stalinizmem, a więc zdecydowanie lepsze od przeszłości, niezbyt jednak zachęcające do pogodnego spoglądania w przyszłość.

I

Chwiejna równowaga między ulgą z oddalania się naprawdę złych czasów a zniecierpliwieniem wywołanym stagnacją i wąskimi perspektywami wydaje się charakterystyczna dla atmosfery społecznej lat 60. Przy czym ulga była doświadczeniem pokoleń dojrzałych, niecierpliwość zaś – młodości, co zarysowało się wyraźnie w konfliktach między pokoleniami, burzliwych przecież nie tylko w Polsce.

Egzegeci utworu Różewicza wskazywali na wspomnienie wojny jako tło dialogów. „On i Ona stwierdzają rzeczowo, że «domy stoją» i «samochody jeżdżą» [...], my zaś wyczuwamy w tym lęk pokrewny temu, jaki towarzyszył Bohaterowi, gdy w zdumieniu spoglądał na swoją żywą rękę i biały sufit” – pisze Halina Filipowicz. Oddaje to jedną z cech klimatu społecznego tych lat; wspomnienie wojny ujawniało się zarówno w wytworach sztuki, jak w ścisiku w sklepach, gdy wydarzenia międzynarodowe zdawały się zagrażać jakimś konfliktem. „Kolumbowie” byli w sile wieku. Wśród czterdziesto- i pięćdziesięciolatków wiele było osób fizycznie i psychicznie okaleczonych, które straciły rodziny, przeszły przez obozy – można było takich spotkać w każdym większym przedsiębiorstwie czy biurze. Wojna odbijała się ciągle w tematyce filmów, reportaży, w malarstwie, w oficjalnych rytuałach – jej cień przywoływany był dla

potrzeb bieżącej polityki, był jednak także realnym zjawiskiem społecznym. Jeszcze w 1970 r. Polska nie osiągnęła przedwojennej liczby mieszkańców – w 1938 r. było ich 34,8 mln, a wtedy 32,6 mln. Liczba mieszkańców miast była jednak prawie dwa razy wyższa niż przed wojną. Dane te wskazują zarówno skutki okaleczenia społeczeństwa, jak stopień zmian, jakie zaszły po wojnie.

Wśród tych zmian jedną trzeba od razu podkreślić – homogenizację; zaszła ona w różnych dziedzinach. Częściowo spowodowana była przez nieszczęścia wojny, zmiany granic i wielkie migracje; kraj był jak nigdy dotąd „narodowo polski”. Jego mieszkańcy mówili tym samym językiem, który zatracił też regionalizmy. Niemal wszyscy umieli pisać. Uczestniczyli w kulturze zdominowanej już przez mass media. Centralistyczne zarządzanie krajem i wersja nowoczesności, jaką z sobą niosło, powodowało kolejne objawy ujednoczenia, „statystyczności” Polski lat 60.: w całym kraju podobnie urządzone knajpy i sklepy, mała architektura w miastach, typizowane budownictwo mieszkaniowe, monotonne stroje ludzi.

Znawcy twórczości Różewicza wskazywali na charakterystyczną dla jego dramatów atmosferę bezczasu, oczekiwania, jaka wypełniała dialogi bohaterów. W przypadku *Świadków...* także ta cecha zdaje się inspirująca dla rozważań o realiach lat 60. Kompozytor Zygmunt Mycielski zapisywał w swoim dzienniku obserwacje o atmosferze „zwolnionego tempa”, w jakiej żyją Polacy; powolności i nudy, niezgodnej z tempem rozwiniętego świata. Atmosfera taka bije z wielu przekazów, z filmów, powieści, nawet z fotografii ukazujących ulice miast. Z gazet, w których odbijają się monotonne rytuały polityczne, bezbarwne twarze aparaczyków, ich bliźniaczo podobne oficjalne biografie, nudne przemówienia. Jednak także ten obraz jest tylko jedną z warstw; kryją się za nią codzienne problemy kraju, któ-

rego egzystencji nie można zamknąć w pojęciach stagnacji i marazmu. Polska była krajem ludzi młodych, dorabiających się i przemieszczających, aspirujących.

Z czym kojarzy się Polska lat 60. dziś, z czym kojarzyła się dawniej? Po 1970 r. przymiotnik „gomułkowski” nie odnosił się w mowie potocznej do programu samostanowienia narodowego i „polskiej drogi”, czyli do haseł Października. Stosowano go raczej do opisu mieszkań – ciasnych, nieustawnych, ze ślepych kuchniami. „Gomułkowski” – oznaczało niewygodę i oszczędność, zgrzebną praktyczność, także monotonię i nudę. Kojarzyło się z sennym życiem powiatu i marazmem gospodarczym. Wśród inteligencji przymiotnik ten symbolizował także wąskie horyzonty umysłowe, zaściankowość i skostnienie władzy. U progu XXI w. określenie „gomułkowski” jest zwietrzałe, używane potocznie bardzo rzadko. Jednak świat lat 60. wydaje się zaskakująco świeży i atrakcyjny, bo przetworzony przez współczesną kulturę masową; wszedł już w przestrzeń atrakcyjnego „retro”, wypełnioną pocziwymi przedmiotami codziennego użytku typu pralka Frania i oldskulową odzież. Niełatwo znaleźć powiązania między różnymi obrazami epoki.

II

Polska lat 60. była krajem wiejskim i małomiasteczkowym, o kilku centrach wielkiego przemysłu. W tej właśnie dekadzie dokonała się ważna zmiana statystyczna: ludność miast zrównoważyła się z ludnością wsi. Miasta te były, co prawda, w większości bardzo małe. W 1970 r. w Polsce było 889 miast, z czego 359 miało poniżej 5 tys. mieszkańców. Były to miejscowości często trudne do odróżnienia od wsi. Nie ulegało jednak wątpliwości, że PRL stała się krajem o dominującym znaczeniu przemysłu i miasta – tylko 30 proc. obywateli utrzymywało się z rolnictwa.

Wiejski pejzaż zachował charakterystyczne cechy drobno- i średniorolnej gospodarki chłopskiej, ocalonej od kolektywizacji; układał się w szachownice pól, na które właściciele dojeżdżali gęstą siecią bitych dróg. W latach 50. wozy konne spotykało się na polskich szosach częściej niż ciężarówki, te zaś były liczniejsze niż auta osobowe, w miastach zwane popularnie „taksówkami”. W niedzielę szły do kościołów, często środkiem szosy, zastępy starszych mężczyzn ubranych w czarne marynarki i białe koszule, podobnych do siebie jak krople wody; podobne do siebie były też kobiety wiejskie. Młodzież była już bardziej zróżnicowana, zwłaszcza dziewczyny, które często chłonęły miejskie wzorce. Na co dzień wieś ubrana była praktycznie; trwały był obyczaj donaszania starych i połatanych ubrań, nadających się jeszcze do pracy. Zanikły natomiast stroje regionalne, skutecznie wyparte przez konfekcję. Zacierały się także gwary i dialekty. Nauczyciel w szkole wiejskiej kazał pisać w zeszycie sto razy „gwoździć” uczniowi, który przynosił z domu „goździć”. Istotniejsza od nauczyciela stała się jednak pod koniec lat 60. telewizja, z którą na wsi stykano się już dość powszechnie. Utrwałała ona prymat wzorów miejskich, poprawności i słuszności norm przekazywanych poprzez ekran szklany.

Wśród starszych pokoleń wiejskich podstawową dystynkcją pozostawało: codzienny – odświętny, do pracy – na niedzielę. Młodzież częściej uważała za podstawowy podział geograficzny, a nie czasowy: stąd – ze świata, czyli ze wsi – z miasta. Dość powszechne były pragnienia „wyrwania się” z zagrody rodziców czy z realiów małego miasteczka. W skali ogólnopolskiej symbolem wielkiego świata pozostawała stolica. O Warszawie śniły młode dziewczyny z miasteczka, którym doskwierał nadzór rodziców i sąsiadów oraz brak rozrywek. W kinie mogły zobaczyć film sprzed lat, knajpa okupowana była przez pijaków,

a spotkanie się w klubokawiarni ściągało niechętnie uwagi nauczycieli. Dziewczyny pisały listy do „Przyjaciółki”. Wyobrażały sobie „inne życie”, tak dobrze przecież zobrazowane na stronach tygodnika czy w serialu telewizyjnym – życie w wielkim mieście.

Nie tylko wsie, ale i miasta Polski centralnej i wschodniej zabudowane były w dużym procencie domami drewnianymi. Znikały one stopniowo, zastępowane blokami mieszkalnymi i pawilonami handlowymi, wciąż jednak bardzo wiele krajobrazów przywoływało wspomnienie o dawnych żydowskich sztetlach i rzemieślniczo-targowych miasteczkach II Rzeczypospolitej. Życie toczyło się wokół rynków, na które w dni targowe zajeżdżały nadal wozy chłopskie, przy kilku sklepikach, zakładzie fryzjerskim i rzemieślniczym, w spółdzielczej knajpie. Te tradycyjne formy wypełnione były jednak inną niż przed wojną treścią. Likwidacja większości prywatnego handlu i rzemiosła podcięła sens egzystencji wielu małych ośrodków. Szansą na ożywienie i nadzieją na przyszłość, zwłaszcza dla młodszych mieszkańców, było lokowanie inwestycji przemysłowych. Jeśli ich nie było, miasteczko tkwiło w stagnacji. Zbigniew Kwiatkowski pisał w 1966 r. o „miasteczku N”: „Cecha, która od pierwszych chwil rzuca się w oczy? Spłaszczenie struktury społecznej miasta. Nikogo, kto budziłby zainteresowanie. [...] Od lat – ani jednej kariery; urzędnicze, poza znikomą małą grupą bezpośrednio zainteresowanych, nikogo nie zajmują. Typ kariery osobistej – może lepiej: indywidualnej – przestał istnieć. Szczytem marzeń jest własny dom, w kręgach inteligencji – samochód. [...] Żadnych szczytów, niziny też niegłębokie”.

Powieść Kazimierza Orłosa *Cudowna melina* traktuje o takim właśnie miasteczku, a właściwie o jego elicie władzy, złożonej z sekretarza partii, przewodniczącego rady narodowej i kierowników jej wydziałów, majora MO, powiatowego archi-

tekta, szefa miejscowego przedsiębiorstwa budowlanego, dyrektorów szpitala i szkoły, kilku jeszcze postaci. Większość z nich tworzy układ decydujący nieformalnie o większości spraw w miasteczku, a przede wszystkim o pieniądzach, układ spojony dodatkowo współnictwem w dochodach z przemytu. Wymowa powieści jest pesymistyczna – próba walki z tą bezkarną elitą kończy się porażką. Orłoś portretuje też społeczność lokalną, bierną wobec nadużyć, niewspierającą niepokornych jednostek.

Co charakterystyczne, w odmalowanej przez Orłosa miasteczkowej elicie nie ma księdza. Znaczenie tej postaci było tymczasem bardzo duże, lecz należała ona do sfery osobnej wobec oficjalnej rzeczywistości; autorytet księdza zmniejszał się z pewnością, lecz raczej wskutek głębszych zmian kulturowych niż nieprzychylniej wobec Kościoła polityki władz. Ta mogła, oczywiście, wpływać na pewne zachowania – wspomniani członkowie lokalnych elit władzy chrzcili swe dzieci potajemnie, w odległych parafiach, by uniknąć oskarżeń o „religianctwo”. Sfera religijności bywała, zwłaszcza dla starszych mieszkańców wsi, tożsama z życiem publicznym – innego nie potrzebowali. Natomiast dla wielu młodych Kościół był tak samo nieatrakcyjny, jak świat oficjalnej polityki. Zajmowali się sobą, nie odbierając żywiej impulsów, które próbowała do nich wysyłać rodzina, szkoła, propaganda. Na tym tle rysowały się konflikty międzypokoleniowe.

Silniejsze emocje wywoływały konflikty między Kościołem a państwem, które dla mieszkańców wielu miejscowości czy dzielnic oznaczały po prostu niemożność chodzenia do kościoła, którego nie pozwalano zbudować; milicja likwidowała zgromadzenia przy krzyżach czy kapliczkach – poza świątynią nie wolno było się zbiorowo modlić; ze szkół usuwano krzyże, a ze szpitali – zakonnice; Kościół pozbawiano niektórych nieruchomości; utrudniano udział w pielgrzymkach i procesjach.

Wszystko to powodowało niezadowolenie, a nawet zajścia uliczne, było też przedmiotem licznych aluzji lub otwartych krytyk w czasie kazań. Próby osłabiania Kościoła poprzez nękania administracyjne nie przynosiły jednak pożądanych przez władze skutków społecznych; przeciwnie, zdaje się, że umacniały znaczenie instytucji zdolnej rywalizować z państwem, tworzącej sferę autonomii. Rola Kościoła wyraziła się najdobitniej w czasie wielkiego starcia z reżimem przy okazji uroczystości Milenium Chrztu vel Tysiąclecia Państwa, tak naładowanego odniesieniami do tradycji. To przecież stare kościoły świadczyły w pejzażu o tradycji, nie tylko narodowej, ale i państwowej – co miało szczególne znaczenie na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych.

III

Polska szczyła się odbudowanym Wrocławiem i restaurowanymi zabytkami, które ujawniać miały „piastowskie” cechy. Tymczasem w latach 60. odziedziczone po Niemcach miasta nosiły już bardzo wyraźne ślady złego gospodarowania; wiele z tych, które przejęto nietknięte, sypało się i waliło. Największe zaniedbania pochodziły sprzed 1956 r., lecz i potem postępowała degradacja kamienic, sieci wodociągowych, skomplikowanych systemów regulujących poziom rzek. Mieszkańcy przyzwyczajeni byli do szarego pejzażu miast; wielu traktowało go już jak naturalny. W całej Polsce obok zaniedbanych kamienic wznoszono nowe zespoły bloków, kontrastujące przez pewien czas jasnymi tynkami z tym, co odziedziczono z przeszłości. Było tak zwłaszcza w Polsce centralnej i wschodniej, która miała szczególnie złe warunki mieszkaniowe: pójście „do bloków” było dla wielu ogromnym awansem. Wiązało się z tym dość powszechne lekceważenie dawniejszej zabudowy, kojarzącej się w Łodzi, Piotrkowie, Lublinie głównie z biedą i zaniedbaniem.

Nie odkryto jeszcze, w szerszej skali, wartości tego dziedzictwa, a planowanie urbanistyczne w małym stopniu liczyło się z opinią publiczną. Lata 60. były epoką obtłukiwania sztukaterii z dziewiętnastowiecznych elewacji, burzenia kamienic i domów drewnianych.

W zmienionym pejzażu miejskim żyły społeczności przemieszane. Znaczna część mieszkańców miast przeniosła się do nich niedawno, wniosła kulturowy bagaż, który wpływał na „ruralizację”, jaką obserwowali socjologowie. Jej symbolem było trzymanie królików na balkonie i węgla w wannie, lecz konsekwencje wielkich migracji były znacznie bardziej skomplikowane. Stosunek do pracy, sposoby spędzania wolnego czasu, dbanie lub nie o przestrzeń publiczną, sposoby picia alkoholu i wykorzystywania izb mieszkalnych – wiele sfer codzienności naznaczonych było przez skutki zmian powojennych. Z tych zmian wyłaniały się jednak stopniowo struktury okrzepe. Właśnie w latach 60. ludzie na wielką skalę „zagospodarowywali się” – zasiedlali bloki spółdzielcze lub przewlekle „budowali się”, żyjąc w domach jeszcze nieotyńkowanych, lecz własnych. Ci nowi mieszkańcy w nowych mieszkaniach mieli pewne aspiracje materialne, co wpływało na obraz kulturowy polskich miast i miasteczek. Zarobki były niewysokie, lecz dzięki pożyczkom, systemowi sprzedaży ratalnej, a przede wszystkim dzięki „fuchom” i „bokom”, czyli dorabianiu do pensji, kupowano meble, radia i telewizory, maszyny do szycia i pralki; młodzi mężczyźni skłonni byli długo odkładać na wymarzony skuter.

Tych statystycznych nowych mieszkańców miast nazywano „Kowalskimi”. Byli oni pracownikami państwowych przedsiębiorstw, o wykształceniu zawodowym lub technicznym. Można pokusić się o przypisanie im, jako masie, pewnego zbioru poglądów i odruchów dość wyraźnie rysującego się w różnych przekazach. Byłaby wśród nich akceptacja haseł

uprzemysłowienia i rozbudowy miast, przekonanie, że państwo powinno sterować rozwojem kraju. Łączyli dość tradycyjną, obrzędową religijność i rygoryzm w podejściu do dzieci z podziwem dla nowoczesności symbolizowanej przez wielki zakład przemysłowy. Na co dzień narzekali na złą organizację pracy i niekompetencję szefów; sądzili, że zmiany personalne mogłyby zaradzić problemom. Widzieli „polski bałagan” i wierzyli, że za granicą bałaganu jest mniej, choć zagranicą tej jeszcze na ogół nie widzieli. Winni bałaganowi byli kierownicy i dyrektorzy, często „Żydzi”.

IV

Spółeczeństwo ówczesne nosiło w masie wyraźne cechy zbiorowości wychodzącej z biedy. Polacy mieli małe zasoby odzieży i zwracali uwagę przede wszystkim na jej praktyczność. Używali stosunkowo niewiele mydła, szamponu, detergentów. Jedli tłusto, uważając mięso za podstawę dobrego odżywiania, a także symbol dostatku, mniej chętnie sięgając po ryby, warzywa i owoce. Podwyżki cen mięsa w latach 1967 i 1970 wywołały silne frustracje. Zamknięci byli w świecie spraw rodzinnych, domowych, niewielkim zainteresowaniem obdarzając zarówno życie publiczne, jak publiczną przestrzeń osiedla czy ulicy. Wyrażała się w tym nieufność wobec władzy różnego szczebla, lecz także koncentracja na dobrach, z trudem pozyskanych, tym bardziej więc istotnych – ludzie dorabiali się mozolnie, meblowali, starali zapewnić rodzinie pewien komfort i prestiż. Zaangażowanie społeczne, do którego publicznie nawoływano, ich nie pociągało, rzadko też mogło być wolne od nacisków i ograniczeń narzucanych przez sklerotyczny system. Wiedzieli o tym dobrze animatorzy ruchu spółdzielczego, który przez pewien czas po 1956 r. nabrał wigoru, później jednak przygasł. Logika państwa scentralizowanego i biurokratycznego hamo-

wała niezależne, żywiołowe poczynania. Na niekończące się trudności napotykali wynalazcy polscy, głośno popierani, a jednocześnie bezradni wobec tysięcy przeszkód administracyjnych. Niesprawność centralnie sterowanego przemysłu była przyczyną frustracji inżynierów i szeregowych robotników: źle wpływała zarówno na ambitne pomysły konstrukcyjne, jak wysokość możliwych do legalnego osiągnięcia zarobków.

Miarą swobód jednostki w Polsce Gomułki, znacznie większych niż przed 1956 r. i w większości ówczesnych reżimów Europy Wschodniej, było istnienie enklaw kulturalnych, w których chroniła się przede wszystkim inteligencja. Działywały kluby dyskusyjne i muzyczne, eksperymentalne teatry, galerie. Ważnymi enklawami były kawiarnie i czytelnie międzynarodowej prasy. Mimo przeważnie złej kawy, skromnego wyboru ciastek, niewygodnych krzeseł i złej wentylacji – kawiarnie przyciągały tłumy, a wiele z nich gromadziło grupki stałych bywalców, którzy dyskutowali bez wielkiego skrępowania także o polityce. Takie dyskusje dawały poczucie uczestnictwa w sferze publicznej, również dlatego, że toczono je właśnie „na mieście”, w kawiarni, wśród ludzi. Kluby międzynarodowej prasy dawały natomiast dostęp do gazet i tygodników nie tylko z Europy Wschodniej, ale i zza „żelaznej kurtyny”. Był to niemały codzienny przywilej polskiego inteligenta w stosunku do sytuacji jego kolegów w większości krajów Bloku – oczywiście, inteligenta wielkomińskiego.

Enklawy, o których mowa, istniały w dużych ośrodkach; doświadczenia „prowincjonalnej” inteligencji były odmienne. Sława Przybylska śpiewała do słów Agnieszki Osieckiej o „okularnikach”, którzy:

„Wymęczeni, wychudzeni,
z dyplomami już w kieszeni,
odpływają pociągami,

potem żenią się z żonami.
Potem wiążą koniec z końcem
za te polskie dwa tysiące”.

Dominowała „urawniłowka”, sprawiająca, że w skali ogólnej niełatwo było zarobić więcej niż te dwa tysiące, lecz zróżnicowanie możliwości zarobkowych było wyraźne. W 1970 r. pracownik budownictwa zarabiał przeciętnie prawie trzy tysiące złotych brutto, a zatrudniony w ochronie zdrowia i opiece społecznej – poniżej dwóch tysięcy. Mniej więcej tyle kosztował męski garnitur polskiej produkcji. Niżej na drabinie zarobków stali tylko pracownicy leśnictwa. Była to tendencja stała.

Przepracowani lekarze i pielęgniarki zarabiali mało, zmagając się też z niedostatecznym wyposażeniem swoich placówek, brakami leków, a także opornością pacjentów, niestosujących się do zaleceń i zaniedbujących. Rozwój ilościowy sieci ochrony zdrowia był wyraźny, co wiele znaczyło zwłaszcza w Polsce wschodniej. Przychodnie pojawiały się w miejscowościach, w których nierzadko działał dotąd tylko felczer. Był to teren prawdziwej pracy organicznej. W latach 50. i 60. lecznictwo państwowe dość sprawnie poskramiało choroby biedy, takie jak gruźlica, krzywica, anemia. Szybko spadała śmiertelność niemowląt; w 1970 r. umierało 32 na tysiąc zdrowo urodzonych, co było wskaźnikiem porównywalnym z Węgrami, Grecją, Bułgarią (znacznie jednak różniącym się od realiów Zachodu, gdzie wskaźnik ten był przeważnie niższy od 20). Pod koniec dekady stawało się jednak widoczne, że publiczne lecznictwo nie daje sobie rady z szerzącymi się chorobami cywilizacyjnymi, przede wszystkim związanymi z przemysłem. Skutki wypadków przy pracy i złych warunków pracy, nowotwory, choroby wieńcowe – były wyzwaniem dla stale niedoinwestowanych szpitali. Osobnym, stale zaostrażającym się problemem był alkoholizm.

V

„Polskie dwa tysiące” były skromną, lecz stabilną podstawą bytu, której znaczenie podkreślała też stałość cen, regulowanych administracyjnie. Ich niezmiennosc w zakresie podstawowych codziennych potrzeb była wymogiem politycznym. Mieszkaniec PRL uznawał za oczywiste, że bochenek chleba kosztuje 4 zł, gazeta codzienna 50 gr, tyle co bilet tramwajowy, a przeciętne buty zawsze około 300 zł. Ta stabilność cen, przy dość powolnym, a pod koniec dekady niezauważalnym wzroście płac, oznaczała też stałość niedostatku wśród mniej zarabiających (czyli na ogół – mniej zaradnych). Płaszcz ze zgrzebnej wełny na watolinie kosztował około 1500 zł, czyli niemal miesięczny zarobek nauczyciela. Ta proporcja coraz słabiej godziła się z postępującym uprzemysłowieniem kraju, podobnie jak stała cena telewizorów. Telewizor wchodził jednak do grupy przedmiotów powszechnego pożądania, dlatego bardzo wiele osób decydowało się na znaczące wyrzeczenia, choćby pracę ponad miarę, aby go posiadać. Pod koniec ery Gomułki na sto statystycznych gospodarstw domowych było już prawie 70 telewizorów.

Telewizor czy motocykl były przedmiotami zbytku; ich wysokie ceny akceptowano. Przedmioty te stały się publicznymi symbolami statusu. Odbiornik pojawiał się więc w mieszkaniu, w którym nie było bieżącej wody, na ceglanych bieda-domkach wyrastały anteny, a posiadacze malutkich mieszkań ze ślepych kuchniami gotowi byli umieszczać w nich motocykl, którego los na dworze byłby niepewny. Poważne niepokoje budzić mogło natomiast naruszenie minimum, podstawowego poziomu egzystencji. Dlatego podwyżki cen mięsa i biletów komunikacji miejskiej w 1967 r. powodowały duże wzburzenie.

Reakcje na podwyżkę cen biletów ujawniły też stopień zawiści wobec ludzi, którym powodziło się lepiej niż przeciętnie;

na zebraniach w fabrykach i biurach wiele powiedziano o „prywatniaczach” jeżdżących własnymi samochodami i dyrektorach wożonych autami służbowymi. Samochód osobowy był dowodem nierówności, wskazywał na szczególne dochody, osiągnięte – w domyśle – nielegalnie lub niesłusznie; symbolizował też dostępną wybranym swobodę poruszania się i podróży, wiązał także jakoś z mitem Zachodu. Trudno się dziwić. Najtańszy polski samochód syrena, pod koniec lat 60. bardzo już odstający od produkcji światowej w swej klasie, kosztował niebotyczne 74 tys. zł. Statystycznie w 1960 r. na sto gospodarstw domowych przypadał w PRL jeden samochód, a w 1970 r. prawie pięć. Polacy byli słabo zmotoryzowani, a ich aspiracjom na ogół nie odpowiadały możliwości, jakie stwarzał reżim Gomułki. Służbowa warszawa lokalnego dygnitarza była symbolem przywilejów, tym bardziej że dygnitarz posyłał kierowcę po zakupy i kazał się wozić do knajpy. Coraz więcej było jednak w polskim pejzażu prywatnych syren, moskwiczów czy zastaw, które latem zajeżdżały na bieszczadzkie kempingi czy nad jeziora, a rodziny rozsiadały się wokół z suchym prowiantem i radiami tranzystorowymi. Na ulicach dużych miast nietrudno było zobaczyć nowe volkswageny, peugeoty czy ople, które kosztowały na wolnym rynku setki tysięcy. „Skąd oni na to mają?” – w tego rodzaju pytaniach mieścił się duży ładunek frustracji.

Do połowy dekady królem polskich szos był jednak motocykl, symbol statusu na wsi i wśród robotników miejskich. Z badań nad urbanizacją kultury wyłania się obraz podziału PRL pierwszej połowy lat 60.: Polska marząca o motocyklu i chodząca do kina oraz Polska marząca o samochodzie i oglądająca telewizję. Podział ten odpowiadał w przybliżeniu tradycyjnemu rozróżnieniu na Polskę A i B, na zachód i wschód kraju.

VI

Cudzoziemcy, którzy odwiedzali PRL Gomułki, zwłaszcza w pierwszym pięcioleciu po Październiku, zwracali często uwagę na dziwaczność realiów, niemieszczących się w wyobrażeniach o dyktaturach Europy Wschodniej. Francuskim dziennikarzom kraj ten jawił się jako hybrydalna, niekonsekwentna dyktatura; niektórzy nazywali ją nawet „krajem króla Ubu”. Znaczenie Kościoła, rozmiary prywatnego handlu i rzemiosła, dostęp do gazet zachodnich w klubach prasy, nieskrępowane naśladowanie mód zachodnich w muzyce, tańcu i stroju, swobodne często gadulstwo na tematy polityczne – wszystko zaskakiwało. Ten obraz był powierzchowny i łatwo mógł się rozpaść pod wrażeniem aresztowań osób kontaktujących się z zachodnimi środkami przekazu. Atmosfera zaczęła gęstnieć na początku lat 60., a w drugiej połowie dekady stawała się – w sferze politycznej – coraz cięższa i coraz bardziej odmienna od względnej swobody lat 1957–1959/61. Ograniczano nakłady i rozmiary popularnych czasopism, niektóre zamykano (popularny tygodnik „Świat”), informacje medialne stawały się coraz bardziej monotonne; kurczył się kontakt ze światem.

Niedostatek tego kontaktu sprzężony był, zwłaszcza wśród młodzieży, z łaknieniem wszystkiego, co pochodzi z „żelaznej kurtyny”. Nie było to zjawisko polskie; występowało we wszystkich państwach komunistycznych, choć w różnych proporcjach i z różnymi możliwościami spełniania się marzeń. Miarą tych różnic było choćby zaopatrzenie bazarów w PRL i *tołkuczek* w Związku Radzieckim: w Warszawie czy Krakowie można było przebierać w „ciuchach” przysyłanych z Ameryki, a w Leningradzie atrakcją były węgierskie czy czeskie sweterki. Polska była więc krajem relatywnie otwartym, przede wszystkim w zakresie przyswajania wzorów kulturowych. Wyjazdy

zagraniczne były trudne przede wszystkim z powodu ich kosztów; ludzie majątni mogli bez wielkiego kłopotu wykupić wycieczkę „Orbisu”, a bardzo majątni – turystyczny rejs „Batorym”. Dostępniejsze były wyjazdy do krajów „bratnich”; liczba podróżujących tam wzrosła w latach 60. pięciokrotnie, przekraczając w 1970 r. 750 tys., podczas gdy liczba podróży na Zachód nie uległa nawet potrojeniu, osiągając 114 tys. Każda taka podróż, służbowa czy turystyczna, miała znaczące skutki – ważne było, co kto „przywiózł”, ale i co zobaczył. Rozchodziły się opowieści i przedmioty. Szczególną rolę odgrywali tu kierowcy tirów, marynarze, stewardesy – ci wszyscy, którzy stale wyjeżdżali i byli w stanie zawiązać trwałe międzynarodowe stosunki, choćby na poziomie handlu kosmetykami. W Wiedniu czy Paryżu powstawały ekspozytury nieformalnych sieci łączących PRL z wolnym światem – były to sklepy, w których polscy kupcy zaopatrywali się stale w towar, zwykle tkaniny, konfekcję i drobiazgi. Przywożone towary sprzedawane były na czarnym rynku lub wprowadzane do legalnego obrotu w komisach, będących oknem na świat; przed witrynami komisów warszawskich podziwiano na co dzień atrakcyjne nowości.

VII

Ambasador Francji w Warszawie opisał w 1963 r. Władysława Gomułkę jako ascetę stwardniałego jak „kawał suchego drewna”. Jego przeciwieństwem był w relacji dyplomaty polski premier, „wielki, tłusty, o sprytnym spojrzeniu, ustach smakosza, rodzaj Tarasa Bulby bez wąsów”, miłośnik kobiet i samochodów. Kontrast tych postaci z elity władzy oddawał niejednoznaczność ówczesnej polityki, a w pewnym stopniu też podziały społeczne; siermiężny etos starych komunistów zderzał się z ambicjami środowisk, które miały inne niż Gomułka i jego

akolici wyobrażenia o nowoczesności. Wszystko to było ukryte pod płachtą oficjalnej jednomyślności i jednolitości elity.

Polityka miała, co zresztą mało zaskakujące, kilka odmiennych sfer. Publiczny rytuał był tylko jedną z nich, choć bardzo znaczącą: rytuał fikcyjnych wyborów, kampanii politycznych, obchodów świątecznych, przemówień dostojników. Był to świat „telewizyjny”, na który przeciętny obywatel nie miał żadnego wpływu, przeważnie zbywał go też machnięciem ręką. Sam dostrzegał jednak (a często aktywnie współtworzył) inną politykę – na poziomie przedsiębiorstwa, miasteczka, powiatu. Była to polityka oparta przede wszystkim na odniesieniach personalnych. Dobór ludzi i zarządzanie ludźmi były przecież rzeczywistymi instrumentami władzy PZPR, która w terenie miała przeważnie charakter pozaideologiczny, objawiała się w działaniu układów i klik, liczących na czyjeś „dojścia” i „plecy”. W lokalnej polityce występowały jednak i inne zjawiska; lokalni działacze ZSL traktowali nieraz swoje działania jako ochronę wsi czy miasteczka przed omnipotencją PZPR-owskiego państwa; aktywni byli organiczni, zabiegający o powstanie wodociągu, spalający się w staraniach o rozbudowę szpitala.

Trzecia sfera polityczności łączyła ten poziom „powiatowy” i „telewizyjny”, co może najwyraźniej objawiło się w roku 1968. Były to zbiorowe przeświadczenia, które towarzyszyły działaniom lub trwały uśpione, czekając na dogodny moment. Istniały więc przeświadczenia związane z porządkiem społecznym – jego „sprawiedliwością” lub „niesprawiedliwością”; z zakresem suwerenności kraju; ze słusznością polityki gospodarczej; z pozycją danego regionu. Przeświadczenia te nie mogły wyrażać się bezpośrednio w kraju limitowanej wolności słowa i fikcyjnych wyborów. Przenikały do aparatu państwowego i pezetpeerowskiego razem z ludźmi, którzy w tym aparacie tkwili, przemieszczali się w hierarchii, szukali patronów; oddziaływały

na elity władzy, krystalizując poglądy rywalizujących ze sobą frakcji. Ta sfera polityczności mogła objawić się wyraźnie w czasie kryzysu, gdy – jak wiosną 1968 r. – jakieś przeświadczenie zostawało użyte do walki politycznej. Wielka, centralna polityka sprzęgała się z powiatową. Niezadowoleni ze stanu rzeczy, np. ze zbyt powolnych awansów zawodowych, z niekompetencji zwierzchników, znajdowali argumenty dla zmian: podsunęła je propaganda antysemitka.

Jedno z przeświadczeń, które zyskiwało sobie znaczenie zwłaszcza wśród kadry wielkiego przemysłu, wśród inteligencji technicznej i części aparatu władzy, zakładało, że problemem PRL jest instytucjonalna skleroza i ideologizacja zarządzania. Trzydziestoletni inżynierowie narzekali na niekompetencję zwierzchników „z awansu”, których kariery zaczęły się w latach stalinizmu; młodsze i lepiej wykształcone kadry milicji miały dość wydających rozkazy „leśnych dziadków” – ludzi związanych etosem „walki z reakcyjnym podziemiem”; pracownicy przemysłu widzieli marnotrawstwo, skutki błędnych odgórných decyzji, zamknięcie na doświadczenia światowe. Powstawał grunt pod wpływem frakcji partyjnej zwanej technokratyczną, postulującej rozluźnienie rygorów gospodarczych, szybszą rotację kadr, dopuszczenie „młodych”, szersze otwarcie na Zachód, postrzegany jako świat nowoczesności. Erozja reżimu Gomułki wiązała się także z niezadowoleniem tej grupy ludzi władzy, znajdującej coraz mocniejsze oparcie w aparacie państwowym.

Pod koniec dekady obraz „najweselszego baraku” w komunistycznym obozie, jakim miała być PRL, miał coraz mniej wspólnego z rzeczywistością. Owszem, wschodnie Niemcy były pod rządami Ulbrichta ponurą i skostniałą dyktaturą. Węgry żyły ciągle w cieniu nieszczęścia 1956 r., ale kraj nabierał pewnego wigoru wskutek reform i otwarcia końca lat 60. Czechosłowacja w połowie dekady dopiero wychodziła ze stalinizmu, przeży-

wając głęboki kryzys gospodarczy, ale nadeszła Praska Wiosna. Rumunia i Bułgaria wydawały się bardzo odległe od PRL, jeśli chodzi o swobody jednostki i dostęp do zachodniej kultury, jednak przyjeżdżający stamtąd polscy turyści coraz częściej przywozili obraz szybko rozbudowywanych zespołów hotelowych, niezłych restauracji i nowoczesnych stacji benzynowych. Problem polegał na tym, że zwłaszcza w poczuciu ludzi młodszych i bardziej mobilnych PRL była państwem marnującym szanse i coraz mniej atrakcyjnym.

Symbolem życia politycznego stały się nudne i długie przemówienia Gomułki. Trzeba przyznać, że przywódca reżimu krępującego swobodę słowa miał pewną osobistą ambicję mówienia prawdy. Prawdy jego były gorzkie i zniechęcające: rozwodził się nad trudnościami, jakie przyniósł rok mijający, i przewidywał trudności w roku przyszłym. Gomułka nie lubił koloryzowania i był nieufny wobec dostarczanych mu statystyk, a społeczeństwu miał do zarzucenia trwanie przy złych tradycjach dziedziczonych z Polski szlacheckiej – lenistwa, rozrzutności, niegospodarności. „Gomułkowska” atmosfera była z pewnością nieatrakcyjna i nudna, lecz mniej nasycona lękami niż realia, które pamiętano z nieodległych lat stalinizmu. Po 1956 r. państwo wydawało się znacznie mniej represyjne. Inwigilacja i zastraszanie miały już charakter ograniczony i selektywny. Z drugiej strony jednostka wchodząca w konflikt z jakąś strukturą władzy, śledzona przez policję, podsłuchiwana, wzywana na rozmowy i „ostrzegana” – czuła się może tym silniej wyobcowana ze społeczności żyjącej na pozór normalnie, nieodróżniającej jej problemów, unikającej pewnych tematów. Jeden z obserwatorów pisał o „syndromie bożej krowki”, która dotknięta palcem, instynktownie zamiera. Tak też zachowywali się niektórzy, gdy rozmowa zesłała na grunt niepewny politycznie czy personalnie – udawali, że nie słyszą i nie rozumieją. To także

był składnik atmosfery małej stabilizacji: „Wracamy powoli do równowagi, a tu nad głową jakieś chmury się zbierają... Coś nieco się dokupiło...”

Przygodny obserwator polskiego życia mógł nie dostrzec żadnych cech policyjnej atmosfery. Jednak dostępne dziś materiały inwigilacji prowadzonej przez Służbę Bezpieczeństwa tchną zaduchem świata Orwellovskiego. Odpowiednie służby miały sposoby, by starannie nadzorować życie wybranych „figurantów”. Oto jak obserwowany był Antoni Słonimski. Zainstalowane w jego mieszkaniu podsłuchy rejestrowały zarówno rozmowy domowe, jak telefoniczne; gdy poeta wychodził z domu przy alei Róż w Warszawie, podążał za nim agent, raportujący o poczynaniach „figuranta” – oto zatrzymał się przy kiosku, kupił gazetę, włożył ją do lewej kieszeni płaszcza, po chwili w Alejach Ujazdowskich zatrzymał taksówkę marki Warszawa numer taki a taki. Za taksówką jechał zaraz samochód esbecki, z którego śledzono trasę przejazdu, by przekazać zwierzchnikom jej opis. Słonimski wysiadał przy kawiarni, a gdy do niej wchodził, obserwację przejmował agent siedzący przy stoliku i starający się usłyszeć rozmowy, rozpoznać rozmówców. Oczywiście, tak intensywna obserwacja podejmowana była tylko czasowo. Środowiska wchodzące w konflikty z władzami musiały jednak zdawać sobie na co dzień sprawę z możliwości podsłuchu czy prowokacji. Stefan Kisielewski dostrzegał wokół siebie pracowników „spółdzielni Ucho”, jak ich nazywał; rozpoznawał ich w żebrakach, „przypadkowych przechodniach” i samotnych klientach kawiarni. W 1968 r. został mocno poturbowany w zaułku przez „nieznanych sprawców”.

Działania SB obleczone były w legalistyczne formy – na podsłuchy i śledzenia potrzebowano zgód i papierowych potwierdzeń, powstawała obfita biurokratyczna dokumentacja. Właściwa zasada polegała jednak na osadzeniu struktur przemocy

poza nadzorem innych instytucji; wobec służb policyjnych obywatel pozostawał bezradny. Dotyczyło to nie tylko potężnej SB, ale i lokalnej milicji; powiatowe i wojewódzkie struktury władzy potrafiły skutecznie chronić funkcjonariuszy przed odpowiedzialnością za łapownictwo czy skutki pijaństwa. Pobici przez milicjantów obywatele, podobnie jak ofiary wypadków spowodowanych przez nietrzeźwych funkcjonariuszy, rzadko mogli liczyć na rzetelne dochodzenie i zadośćuczynienie.

VIII

Pod koniec lat 60. zbiegło się kilka zjawisk, których objawy występowały od lat, które jednak mniej więcej od 1967 r. kumulowały się i wpływały na wyraźną zmianę atmosfery w kraju. Stawała się ona duszna – to słowo chyba najlepiej oddaje poczucie zastoju i braku nadziei na lepsze.

Kłopoty gospodarcze przybrały postać kryzysu; wypada tu jednak zastrzec, że pojęcie kryzysu jest w odniesieniu do gospodarki PRL niezbyt fortunne – trudno jednak znaleźć lepsze. Z pewnego punktu widzenia cały system ekonomiczny tego państwa był rodzajem kryzysu, czy też zawierał zawsze mniej lub bardziej przykre elementy kryzysu. Jednak wewnątrz tego systemu bywały sytuacje szczególnego napięcia. Niedostatki towarów i kolejki były obecne zawsze, ale w pewnych okresach stawały się nieznośne. Można także mówić o kryzysie kultury, który odczuwano wyraźnie; słowa Stefana Kisielewskiego o „dyktaturze ciemniaków w życiu kulturalnym” oddawały to poczucie. Prasa była zawsze cenzurowana i pełniła rolę propagandową, jednak w pewnych okresach jej monotonia (około 1965 r.) lub agresywność (w 1968 r.) przekraczały miary, które były do strawienia np. dla inteligencji. W sferze oczekiwań wolnościowych kryzysem była sama „mała stabilizacja”, czyli

to odwrócenie się od spraw publicznych, zamieranie dyskusji, krępowanie przez reżim możliwości grupowej i indywidualnej ekspresji. Odczuwano jako kryzys stagnację płac połączoną z nawoływaniem do oszczędzania, wzrosty cen i pogarszanie się jakości towarów, wreszcie – pod koniec dekady – coraz realniejsze widmo bezrobocia.

Udział reżimu Gomułki w stłumieniu Praskiej Wiosny był potwierdzeniem skostnienia politycznego, lecz choćby pobyt w Budapeszcie objawiał skalę niedostatku w Warszawie. Coraz więcej ludzi podróżowało, rosły aspiracje pobudzone także przez polskie pisma ilustrowane, na które władze partyjne zresztą często się zżymały, dostrzegając w „Przekroju” czy „Przyjaciółce” afirmację kultury zachodniej. Możliwości reżimu wyczerpywały się pod koniec lat 60.; ludziom z większymi aspiracjami kulturalnymi czy majątkowymi nie dawał on żadnych atrakcyjnych perspektyw; tym skromnie sytuowanym nie gwarantował bezpieczeństwa socjalnego. Oznaczało to koniec „małej stabilizacji”, dla jednych zbyt małej, dla innych zbyt już niepewnej.